

Akta I. Czarny scenariusz

Raport #1. Serce ciemności królestwa Cieni

To był koniec.

Nie byłem pewny czy te wszystkie miejsca, stany i osoby miały ze sobą coś wspólnego, oprócz mnie, obserwatora. Czy to tylko zbieg okoliczności. Faktem było to, że znalazłem klucz i uciekałem. Przed czymś. Kluczy było trzy i każdy pasował. A ja nie miałem żadnego. I otworzyłem bramy czegoś, co nie powinno nigdy być otwarte. Nie mogłem się oprzeć pokusie bycia na krawędzi wszelkiego zrozumienia w chwili, na granicy oblędu. I ujrzeć je. Serce ciemności królestwa cieni. Tkwiąc w szponach śmierci.

Gdy to poczułem zacząłem się dusić. Drętwieć. Marznąć. Pożerany przez sny i wizje. Zimno przyniosło ciemność, gdzie życie było złudzeniem. Nadeszło wraz ze spadkiem ciśnienia krwi. Mój umysł uległ zaćmieniu. Moje ciało natomiast się zapadło w miękkie i sypkie głębiny. Przez nie stałem wklęsły i tak opadałem, zagłębiając się w chorobę, od dawna nadciągającą, by w jej następstwie pochłonąć mnie bez jaźni. By ostatecznie pozostawić silne wrażenie na mnie, bym mógł je dalej przekazać, pozostając na potencjalnych lekarzach...

Nie bałem się, będąc odpowiednio przygotowanym iluzjonistą wykorzystującym współczesną alchemię rozumu i nauk przyrodniczych, dzięki którym mogłem zapanować i wpłynąć, by na powrót wszystko stało się fizyczną podstawą, a nie duchowym poglądem, jaki z łatwością odrzuca wszystko to, co materialne. Bo możliwości dające pozbycie się ciała, z sekundy na sekundę decydują o tej decyzji. Bo jak nie zdecydować, będąc w tego rodzaju poszerzającym się stanie. By oddać się nieograniczonej sile nieskończonego potencjału możliwości robienia wszystkiego bez jakichkolwiek ograniczeń.

Broczyłem w nowym porządku. Cienie pożerały moje palce, by w świetle dnia pozostawać na dłoniach. Zmieniam strukturę nieba nad moim pałacem. Chcę znaleźć się na krawędzi. W pierwotne miejsce, do którego nie ma wstępu światłość. Po brzegi absolutu. W akcji czystej kreacji. Dotykam nadając kształt formie. Sproszkowane miejsca pobudzam w niepokojącym oczekiwaniu, by ujrzeć kompletną zapaść wszystkiego.

Musiałoby się stać coś tak straszliwego, że straciłem rozum. Nie mam innego wyjaśnienia. Bym mógł to zrozumieć, muszę to znaleźć i zmierzyć. Prawdopodobnie z najgorszym, możliwym doświadczeniem. Niezrozumiałym, najczarniejszym scenariuszem, nie do ogarnięcia. Im bardziej staram się złożyć wszystko do kupy, tym mocniej się to rozpada. Spróbuję w takim razie rozwalić ten chaos, na jeszcze bardziej niemożliwy do złożenia logiczny porządek.

To niemożliwe. To się nie dzieje naprawdę.

Wszystko stanęło na głowie. Cały obraz za oknem był wywrócony do góry nogami.

– Teraz wszystko stało się jasne.

Kiedy te wszystkie trzaski odbite we mnie po mózgu transplantacji, rozerwą szponami wolny umysł. Tylko szaleństwo wydawało się mieć sens. Niczym zastygłe fragmenty elektronicznego serca rozlane wolnością elementarnego nieba, gdzie ziemia jest morzem martwym. Starym, zastygłym morzem krwi. Namierzając chwilę, od której się to zaczęło, obudziłem się w moim ulubionym śnie o splątane korowodem sieci zniszczeń myślenia. Nie wiedziałem, kim jestem. Czy istniałem w miejscu, którego nie ma, czy to miejsce istniało, a ja nie? Dlaczego byłem pocięty? Całe ciało było w bliznach. Gdzie jestem? Skąd się tu wziąłem i dlaczego? Które wydarzenia były najpierw? Które były prawdziwe? Które były moje?

Pod podszewką wszystkiego, kryje się brutalność i surowość słowa obdartego z wszelkich metafor, odniesień i punktów zwrotnych. Wszystko staje się jasne. Bez niedomówień i możliwości innej interpretacji. Czarno na białym. Jeśli nie ma kogoś, kto opowiedziałby twoją historię, to już jesteś martwy.

– Chcę wyjść!

Nie umieranie jest najgorsze, lecz ponowne narodziny. Lepiej jednak być bez właściwości i nagi. Tak jak teraz. Musiałem dowiedzieć się, kim jestem i co się dzieje z moim ciałem. Nie będzie gorzej niż jest, jeśli to możliwe! Czy to ja byłem w lustrze? – Był to najgorszy, jaki tylko można sobie wyobrazić z możliwych, czarny scenariusz. Wije się na szczudłach nicości. Lodowata prędkość. Nie miałem nic do stracenia. Lustro mówiło:

Nic nie daje większego kopa niż ona, Śmierć!

Strzelam złotym wczoraj. Lustruję. Ciągnę własne jutro. Wszystko było kłamstwem i nic nim nie było. Wszystko skomasowane doświadczeniami i napięciami sygnalizującymi, musiały w pewnej chwili pęknąć. Eksplozja jest nieunikniona. Można dawać radę, lecz podświadomość zawsze wie lepiej. Ona także może nie wytrzymać. Gdy to nastanie zaleje umysł śniącego koszmarami, o jakich śniący nie śmiał śnić w swych dotychczasowych koszmarach. Sen świadomy. Pobudzający. Sen, którego nie można się obudzić. A w nim śniący śni o śmierci w nim...

Jedyne, co mogłem zrobić, to pozostać świadomy i pozwolić na wyzwolenie błysku DMT z szyszynki. Po drugiej stronie wykorzystuję umiejętności nabyte podczas świadomych snów, by móc otwierać drzwi. Miałem 49 dni na to.

Trzy klucze – Nazar, Psyche i Soma. Otwierają Trzecie Oko prowadzące do Gabinetu Osobliwości. Napisane było: Cabinet de curiosites. Gabinet pracy zawodowej poszukiwacza rzadkich kuriozów. Odnalazłem właściwe drzwi. Wtedy stanął przede mną On. Spytałem nieznajomego z nienaturalnie wielkim uśmiechem.

- Co mam zrobić? Jestem gotowy.
- Weź moją twarz, a ja wezmę twoją.
- Ale to nie jest twoja twarz. Nie jesteś prawdziwym klaunem.
- Po czym poznajesz?
- To proste. Nie masz nosa.
- Twoja twarz też nie jest prawdziwa. Ja ją zrobiłem.
- To tym się zajmujesz? Robisz maski?
- Nie. Ja robię twarze.
- Dobra. Powiedz mi, co mam zrobić.

Kimkolwiek byłem. Pozostałem sobą. Chwilowo.

I powiedział mi, że dzięki jednemu z kluczy, który posiadałem, a zwał się Nazar miałem odnaleźć dwa pozostałe. Nie byłem pewny dwuznaczności, czy chodziło o moją duszę, czy o mebel z lustrem, gdy ten mówił „Psyche”. Tak samo nie wiedziałem, czy „Soma” oznacza mityczny narkotyk, czy też moje własne ciało, które pozostawiłem w świecie materialnej iluzji.

Chodziłem po suficie, bo tak przyciągała mnie grawitacja. Dla mnie stan normalny, dla innych niepojęty. Było to warte wszystkiego. Musiałem czekać na zaćmienie słońca, by ujrzeć księżyc. Ten skrywał odbite wschody i zachody galaktyk, o których widoku poza, inni mogli tylko marzyć. Śnić. Ścigało moje trupie ciało, jak i mój własny mózg, uciekający w miejsce, w którym może spokojnie zapomnieć o samym sobie i zgnieć we własnym koszmarze. Pejzaże nie były złudzeniem wyobraźni. Miejsce trawiła obecność skraplająca się monotonna pod powierzchnię maniackalnego szaleństwa. Próbowala zatuszować subiektywne pojęcie płynącego czasu, nadając własną stronę, jakiej nie jest w stanie nikt zaobserwować, obliczyć, ani pojąć...

...By ujrzeć ciemną stronę księżyca. Czekałem na zaćmienie słońca. Widok wschodu i zachowku galaktyk. Skryty był w pokazie, na snu jawie złudzeń wyobraźni, nie było to pejzaże.

Ulewa deszczu światła starła część Królestwa Cieni. Reszta spłynęła wyblakłym odbłaskiem ostatniego krzyku. Lustro przestało odbijać twarz. Zdjęcia przedstawiały życie kogoś innego. Płomień świecy stawał się zimny. Podążam tam, gdzie światło jeszcze nie dotarło. Na całodobowy seans nocy. Przez wizjer sprawdzałem, co mnie czeka w środku. Jeśli widziałem siebie, była to pułapka. Goniłem instynktownie spięty, nie potrafiąc sprecyzować lęku. Musiałem odnaleźć drzwi, za którymi mnie nie było. Szukałem odpowiednich drzwi.

– Oni są wszędzie – Powtarzane echem w korytarzach myśli, z których nie było wyjścia. – Nie mogę się obudzić! – Nie zawsze wszystko widać na pierwszy rzut oka. Przeszedłem przez

lustro zwane Psyche. Miejsce, którego nie ma. – Czy to sen? – Nie było klamek. – Winda? Nigdzie! Nie można od tego uciec. – Niezrozumiane doświadczenie. – Gdy zniknęły wszystkie drzwi oprócz windy. Podoba mi się. Przez chwilę nawet chciałem wyjść oknem. Ale winda była szybsza. – Był mebel i było tylko jedno wyjście. – Trwał absurdalny sabotaż rzeczywistości. Opera okrucieństwa. – Gdzie? – Lustro. Nie było, dokąd uciec! – Psyche...

W niekończących się korytarzach Labiryntu Umysłu. Pośród tysięcy piętér i miliona drzwi, których większość była zamknięta a te, które stały otworem, gościny nie zbyt chętnie przyjmowały, albo w ogóle puste stały. Zaproszenia też nie jasne były dla młodego Brudnopisu, a on ani nie chciał się narzucać, ani wpraszać. Chociaż pragnąłby, choć ktokolwiek mógł poradzić słowem, radą lub jakąkolwiek odrobiną życzliwej pomocy. Nie było map, ani żadnych znaków. Żadnych przejść lub wskaźników. Żaden symbol, cyfra, litery lub hieroglify, nie znaczyły licznych bram, pasażów i skrzyżowań. Przeżycie było to nie miłe. Nie mógł ufać już niczemu i nikomu, a najbardziej sobie. Czasem jakiś sygnał widział, lecz oddalał się od niego, lub też gasł jak ślady, odciski znamiona nikłe, jak prorocтва, przepowiednie, wróżby i omeny. Piętnując go stygmatami bólu ciała oraz duszy. Żadne godło, herb czy też ikona, nie znaczyła nic prócz pytańników w jego głowie przestankując, nic nie wyjaśniając.

Czuł się, jakby wieczność już tak błdził w miejscu nienazwanym, bojąc się tym samym nazwać go też pułapką lub czyścem, bojąc się w umyśle skrycie, że też w sposób ten nazwie on czasem, oznaczając niekończącą się w bezsensie tą włóczęgę. Niczym wagabunda pragnął wyjść stąd, próbując odnaleźć jakiekolwiek wyjście gdziekolwiek. Myślał o pustyni, o lodowcu, chociaż samym pustym mieście. Jak nomada się samotnie czuł tak, że już nawet żarty słowne jako „No-Mad” – nie-szaleniec – z angielskiej wersji dwuznaczej, nie ważył się nawet uśmieć. W swym umyśle, gdzie też jest, ważąc myśli tak, by one kształtowały przestrzeń wokół, by w logiczną układankę, prosty rebus czy kalambur, wywnioskować rozwiązanie, chociaż jedno.

Teraz już zapomniiał całkiem, kim też był we wcześniejszym życiu. Ono było smutnym żartem w ten czas, jak dla niego. Nawet nie chciał myśleć, co też zrobi, gdy stąd wyjdzie, i czy w ogóle się to uda. Już by wolał zasnąć w śmierci, ile w ogóle jest możliwe i dotyczy tego, kim jest. Bo też nie wiedział on wcale drogi ani sposobności rozwiązania tego niezwyklego fortelu nakładu emisji myśli, przy każdym podejściu, kroku czy działaniu. W żadną nową fazę nie wstępował, krocząc w przepaść zanurzając się i przepadając, zanikając mieszając się w zgubę, jakby nurkując bez maski tlenu. Dusił się zgubiony wpisując się na szaloną listę, wprowadzając się do domu czubków, pełnych świrów i maniaków, opętanych pomyślników i wariatów, z bzikiem i fiksacją wszelką.

Całe ciało miał w obrazkach i literach i też cyfrach, hieroglifach. Niczym tuszem niezmywalnym pomazany. Czy to były tatuaże, czy on sam, czy ktoś to zrobił? W jakim celu? Dla zabawy? Z zemsty? Dla nauczki? Chciałby wiedzieć w ogóle, skąd się tu w ogóle wziął. W atramencie na swym ciele ukrył się zamaskowany, taić się w zatartych śladach. W końcu przysiadł na krawędzi rzędu par zamkniętych drzwi po dosłownie wszystkich swoich stronach. Nawet płakać nie miał siły w tym momencie załamania kompletnego. Chciał przynajmniej, na chwilę. Zamknąć oczy i spróbować, wiedząc, że zasnąć nie może, ale chociaż przestać myśleć, choć na chwilę.

Raport #2. Gabinety Osobliwości

Drzwi Gabinetu Osobliwości Pana Śmiecha otwierają się równie szeroko, co jego usta. Na drzwiach widnieć numer 88.

– Jesteście! Witam! Goście z samego Hadesu! Witajcie Hypnos, Tanatos, Hekate i Erynie. Ty. Drugi. Nie, ty. Właśnie. Zamknij za sobą drzwi i przekręć klucz. Zamykamy bramy. Niesamowite, że dzięki prostemu zwyczajowi, gościć będę u siebie członków Hadesu.

– To niezwykle. Przyszli w garniturach. I oni niby grają metal?

Goście szli korytarze do pierwszego pomieszczenia, na którego fotelu leżała kobieta – główna przyczyna całego zamieszania:

– Pewnie o niej słyszeliście. Poznajcie Nike.

Za nadgarstki pociągnięte pod sufit były łańcuchy ją krępujące. Jej przeźroczyste, lekkie skrzydła wyrastające z pleców, przyklejone były do ściany woskiem. Jej nogi powyżej kolan, odrąbane...

W kolejnych pomieszczeniach widać było kolejne kobiety, podobnie torturowane. Kobieta natomiast, wciąż była ta sama. Powielona. Skopiowana. Sklonowana. Nieśmiertelna....

Nike, to rodzaj dojrzałej sztuki. Wytrawna, krucha i niebezpieczna dla koneserów. Jest autentyczna. Sprawdzalem. Szczerze, jednak muszę się przyznać, że nawet nie mając skłonności do seryjnych morderstw, jest coś niesamowicie perwersyjnie podniecającego w zabijaniu nieśmiertelnej. I nie nudzi się to wcale. Zależy to tylko od wyobraźni.

– Nigdy nie ma się dość.

– Słuchaj, jeśli obiecasz powiedzieć, powierz prawdę, a w zamian oddam ci mój Brudnopis.

– Pytaj. Powiem prawdę. Jeśli nie. Nie odpowiem w ogóle.

Po co to?! Po co to robisz? Po co ci to miejsce? Te gabinety? Po co więc, to okrucieństwo?! Ten brud i brzydota?

– To bardzo proste. To miejsce to azyl dla Postaci Fikcyjnych. W tym miejscu nie zostaną zapomniane. Tutaj też mogą żyć własną wolą, niezależni od autorów, sami pisząc scenariusz. Tylko w ten sposób Postać Fikcyjna może się wyzwolić. Musi sama z siebie się zmienić w sposób obcy dla niej i dla jej twórcy. Swoją drogą, tylko w ten sposób można stworzyć coś, co według ogółu, jest niemożliwe do realizacji. Reszta się nie zmienia...

– Nie?! Ona zmienia wiele rzeczy!

– I żywi i martwi sprawiają problemy.

– Teraz, gdy ją znaleźliśmy, nie możemy ci jej oddać, ani jej zostawić z Tobą!

Moja Droga, Niko.

– Ja jej nie porwałem. Nikomu jej nie zabrałem. Bogini straciła dobre imię, a ja nadałem jej nowe. Przyjęła je dobrowolnie. To czyni mnie jej posiadaczem. Wygrałem ją uczciwie, legalnie na loterii. W kole fortuny.

– Szczęścisz z siebie.

– Tak. To wy jesteście przegrani.

– Też coś! Ejże, Panie Śmiech! Pan kpi sobie? Jeśli nie, to będę pierwszą osobą, która pana wyśmiej! Bo to nie może być Niko!

– Tak, wiem. Niko nie żyje. Zmarła w 1988 r. Dałem jej nowe imię.

– Dlaczego to robisz? Dla jej dobra? A może ona nie chce? Inaczej, nigdy sobie nie przypomni, kim jest. A ty byś nie chciał? Za którymś razem sobie przypomni, albo uwierzy w to, kim jest. Ona sama nie wie, czego chce...

– Dobrze, że my to wiemy...

Wszyscy zamilkli w oczekiwaniu.

– Chodźmy do następnego pomieszczenia. Wisi tam pewien obraz, doskonale zironizuje ową sytuację. W ostatniej natomiast, mam coś jeszcze większego. Istne Arcydzieło. Coś, co zobaczycie tylko raz, dziś, i nigdy więcej...

Jak niektóre z nich min. Człowiek Chomik, opisany pod obrazem: Twarz! Przystosowana do gromadzenia jedzenia! Zęby! Wysunięte do przodu... Ona! Wyróżniała się niezwykle swoją chomikowatością! – Goście z coraz większym zaaferowaniem, wygłodniali, oglądali kolejne obrazy, których sława wyprzedzała je, obrosła w legendę prawdziwą. Przemierzali jak Zombie, duchy i kościotrupy, podobnie wyglądając tak, jak przy kolejnym obrazie, szydzącym z nich, o tytule: Pielgrzymka Zombie..

Czy kolejny, na którym drzewie powieszony był mężczyzna, a pod nim farbą nagryzmołony slogan: Uśmiechnij się! Właśnie skończyły się Twoje Problemy. – Choć nie miał zbyt wielu powodów do zmartwień, ani niepowodzeń czy rozczarowań. Na twarzy Pana Śmiecha rzadko można było zauważyć, zwłaszcza tak szeroki uśmiech. Nie ostatnim, ale tym, który przedstawi na końcu w zdziwieniu, szoku i zmieszaniu.

W podziemnym garażu, w kałuży krwi i rozprysku na kafelkowej, białej ścianie, leżał martwy,

zabity od kuli, nie kto inny, jak sam Kaczor Donald!

Gdy wszyscy zajęli się sobą, zapytałem pana Śmiecha, dlaczego pokazuje ludziom takie okropne rzeczy, i co więcej, jego bawią. Namyślił się przez chwilę, sprawdzając mnie, czy naprawdę jestem zainteresowany, i czy nie pytam, nie chcąc tak naprawdę usłyszeć odpowiedzi. Aż w pewnej chwili zaczął od słów:

- Ilu was, więc jest?
- Ja jestem sam, a ty?
- Jesteś pewny tego?
- Tak, a dlaczego?
- Bo tak naprawdę to mnie nie ma. Wymyśliłeś mnie sobie.
- Raczej ty tą sytuację...

Ale nie raczył wyjaśnić, włączając radio, w którym jakiś głos zapytał inny: Na kogo i na jaką platformę w tym roku wyborczym głosujesz?